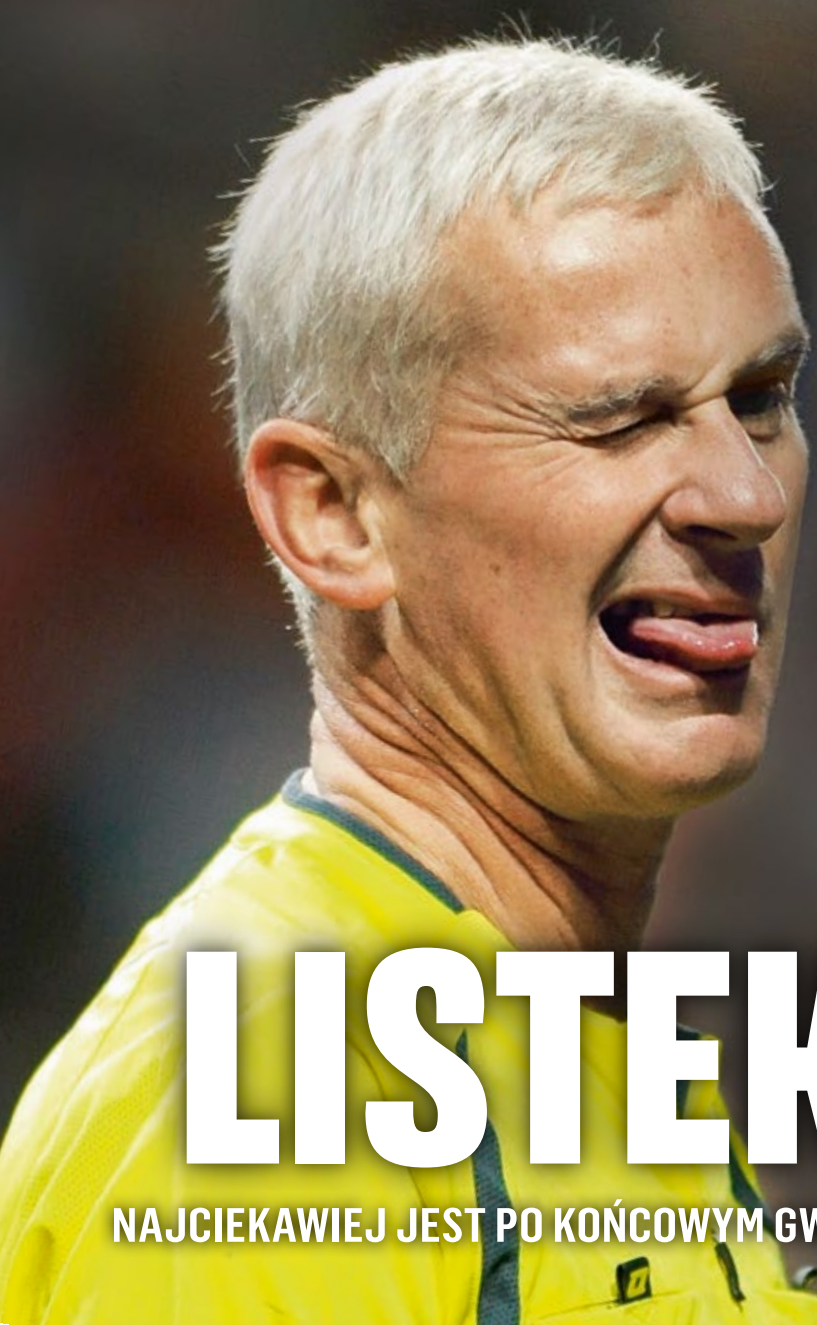


ŁUKASZ OŁKOWICZ PIOTR WOŁOSIK
MICHAŁ LISTKIEWICZ



LISTEK

NAJCIEKAWIEJ JEST PO KOŃCOWYM GWIZDKU

LISTEK

NAJCIEKAWIEJ JEST
PO KOŃCOWYM
GWIZDKU

[Kup książkę](#)

Tekst © Copyright by Michał Listkiewicz, Warszawa 2021

Tekst © Copyright by Łukasz Olkiewicz, Warszawa 2021

Tekst © Copyright by Piotr Wołosik, Warszawa 2021

Redakcja: Maciej Szmigielski, Paweł Wołosik

Korekta: Marcelina Samek

Projekt graficzny: Cezary Piotrowski

Koordynator projektu: Katarzyna Drosio

Zdjęcia:

Okładka: Bartosz Krupa/East News

Zdjęcia sesyjne: fotograf: Łukasz Grochala/Cyfrasport; asystenci: Wojciech Dulnik, Weronika Kuźma; makijaż: Sandra Nowak; stylistka: Anna Chomiczewska; backstage: Wuka studio.

Środek: Archiwum prywatne Michała Listkiewicza x10, Grzegorz Jakubowski/Polskapress/East News, Włodzimierz Sierakowski/400mm x12, Marek Biczuk x2, Maciej Śmiarowski, Mark Leech/Getty Images, Piotr Kucza/FotoPyk x2, Neil Munnis/AFP/East News, Dariusz Górski/Fotonova, Imago/East News, Cezary Pecold/East News, Kamil Piklikiewicz/DDTVN/East News, Mieczysław Świderski, Łukasz Grochala/Cyfrasport, Piotr Nowak/newspix.

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 49

02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8250-097-4

Warszawa 2021

**MICHAŁ
LISTKIEWICZ**

ŁUKASZ OLKOWICZ
PIOTR WOŁOSIK

LISTEK

NAJCIEKAWIEJ JEST
PO KOŃCOWYM
GWIZDKU

WARSZAWA 2021

**BIBLIOTEKA
PRZECIĄD
SPÓRTOWY**

[Kup książkę](#)

Spis treści

Wstęp	5
Rozdział I: Pan Kazio.....	11
Rozdział II: Kopniak Maradony	25
Rozdział III: Sekrety FIFA, czyli toast szampanem z pantofelka.....	39
Rozdział IV: Syn robotnika i żona szlachcianka	51
Rozdział V: Bohema ostro bawi się	59
Rozdział VI: Warszawa da się lubić	67
Rozdział VII: Jak zacząłem dmuchać. W gwizdek	75
Rozdział VIII: Cukierek albo Fryzjer.....	83
Rozdział IX: Bal na dworcu w Koluszkach.....	117
Rozdział X: Cześć, Tereska	129
Rozdział XI: Czterdziestolatek w PZPN – to idzie młodość.....	147
Rozdział XII: Lateksowa dama	153
Rozdział XIII: Panie Michale, to ja, Roman!	159
Rozdział XIV: Wszędzie dobrze, ale w delegacji najlepiej	165
Rozdział XV: Morderstwo i więzienie – polityka nieszczęście tyka	193
Rozdział XVI: Cała Polska widziała	201
Rozdział XVII: Czarne lakierki, białe skarpety – nasz piłkarski kapitalizm	211
Rozdział XVIII: Jak zrobiono z whisky herbatę.....	221
Rozdział XIX: Dziura w moim życiorysie	227
Rozdział XX: Od pucybuta do prezesa	235
Rozdział XXI: Selekcjonerzy	247
Engel, śpiewy, reklamy – recepta na przegranie mundialu	247
Boniek – zrezygnowany selekcjoner	256
Janas – ofiara mojego tchórzostwa	258
Beenhakker – człowiek o dwóch twarzach	264
Rozdział XXII: Zwycięstwa rozleniwiają	277
Rozdział XXIII: EURO 2012 za tysiąc delegacji.....	285
Rozmowa niekontrolowana – Michał Listkiewicz o alkoholizmie ojca, czarnej owcy i zbrodni bez przebaczenia	299
Epilog	331

Wstęp

Zagwizdałem po raz ostatni. I już? To koniec? Tak po prostu? Skończył się finał Pucharu Polski, a ja kończyłem karierę sędziego. Piłkarze Ruchu Chorzów rozemocjonowani wygraną biegali po boisku, a ja zostałem z rozproszonymi myślami w głowie.

Miałem 43 lata. Nie musiałem opuszczać sceny, przepisy pozwalały sędziować kolejnych siedem lat. Tylko nie widziałem sensu. Dwa razy sędziowałem w mistrzostwach świata, pojechałem na igrzyska olimpijskie. Jako sędzia nic więcej bym nie osiągnął. Mogłbym jedynie żyć przeszłością i odcinać kupony.

Z trybun finałowi przyglądał się Aleksander Kwaśniewski. Wtedy jeszcze prezydenci Polski zaglądali na decydujące spotkanie krajowego pucharu. Zresztą przed meczem pożegnał mnie z honorami. Wszedł na boisko, wręczył kryształ – choć akurat kryształów szczerze nie znośiłem – jako pamiątkę za wieloletnią karierę. Obok kręcili się fotoreporterzy, spiker uderzył w doniosły ton: – Dziś ostatni mecz sędziego międzynarodowego Listkiewicza. Dziękujemy!

Kwaśniewski klepał mnie po plecach, a ja kokietowałem: – Panie prezydencie, nie przesadzajmy... Jaka tam kariera... Sędziowałem jak umiałem.

Kwaśniewski nachylił się do mojego ucha. I wyszeptał tak, żeby nikt inny nie usłyszał:

– Michał, nie pierdol.

Wziąłem sobie do serca prezydencką radę na resztę życia i w tej książce też postaram się, żeby pozostała aktualna. Nie zabraknie momentów, w zasadzie będzie ich większość, gdy

szeroko się uśmiechniecie. Bo mimo koszmarnych przejść takie jest właśnie moje życie. Wesołe i z przygodami.

Z prezydentem FIFA João Havelangem, Kaziem Górskim i Andrzejem Strejlauem, wtedy selekcjonerem naszej reprezentacji, pojechaliśmy na spotkanie z Lechem Wałęsą. Prezydent narzekał na wyniki kadry i rzeczywiście miał powody, bo były dalekie od oczekiwanych.

– Za pana czasów to było! – pochwalił Górskiego.

Kazio miał już dość wspomniania starych dziejów.

– Panie prezydencie, teraz czas na młodych – wskazał na Strejlaua.

– To są młodzi? – Wałęsa uważnie przyjrzał się charakterystycznej twarzy Andrzeja i machnął zrezygnowany. – Eee, to nic z tego nie będzie.

Jako działacz oglądałem piętnaście turniejów o mistrzostwo świata w różnych kategoriach. Gdybym został nim od razu albo trzymał się pracy dziennikarza, nie miałbym szans przeżycia tego, co zapewniło mi sędziowanie. To dzięki niemu znalazłem się tak blisko wielkiej piłki, że bliżej podejść się nie da. Bo co zapewnia lepszą perspektywę oglądania finału mistrzostw świata niż bycie na boisku? No i te wspomnienia, gdy rozwścieczeni porażką Argentyńczycy zjawiają się pod twoją szatnią. Ile osób na świecie może powiedzieć, że w ich drzwi kopał sam Diego Maradona?

Jako prezesa PZPN zatopiła mnie afera korupcyjna. Tam, gdzie ja widziałem czarną owcę, grasowało już stado hien. Pomyliłem się w ocenie skali brudnego zjawiska, nie doceniłem przebiegłości i – co tu kryć – bezwzględności wielu

osób. Moje ruchy były spóźnione, przyznaję. Najbardziej zawiedli mnie ci, którym zaufałem i wyznaczyłem do pilnowania porządku. Mieli kierować organizacją sędziowską, a pod moim bokiem sami założyli organizację, która ze sportem miała niewiele wspólnego.

Do dziś wracają pytania: jak mogłem tego nie zauważyć? Gdybym wiedział, że kupczenie meczami odbywa się w tak ordynarny sposób, to chociażby w swoim interesie i dla chrońnienia własnego tyłka wyrzuciłbym tych ludzi ze związku. Nie jestem idiotą, który trzyma pod bokiem złodzieja, wiedząc, że mnie okrada.

Zastanawialiście się kiedyś, jak to jest być wrogiem publicznym numer jeden w Polsce? Nie będzie lepszej okazji, by się o tym dowiedzieć. Od czego zaczniemy? Od zdewastowanego grobu moich rodziców, który ktoś zapaskudził obraźliwymi napisami? A może od karetki pogotowia pod domem, kiedy żona nie wytrzymała nagonki na męża? Wróciłem do domu po programie u Bogdana Rymanowskiego w TVN24, na który Janusz Palikot przyszedł ze świńskim łbem i grzmiał, że Listkiewicz jako szef mafii pójdzie siedzieć. Politycy w ogóle, o czym zdążyłem się przekonać, mogliby robić doktorat z cynizmu. Oni nie tyle idą po trupach do celu, co po nich biegną.

Zobaczyłem roztrzęsioną żonę, zapłakaną i z wariującym tętnem.

- Co się stało?
- Widziałam... – z trudem próbowała wyrównać oddech.
- Widziałam ten program... Jak my teraz wyjdziemy na ulicę? Jak my się ludziom pokażemy?

Nie mogła się uspokoić, więc wezwałem pomoc.

Nienawiść wybiła ponad skalę, zatruwając toksycznością codzienność moją i bliskich. Zapłaciłem za to zdemolowanym

życiem prywatnym, być może przez to rozpadło się moje małżeństwo. Dla Doroty takie życie na dłuższą metę okazało się nie do zniesienia.

Nienawidzili mnie, oj jak mnie nienawidzili. A ja w życiu do nikogo nie czułem nienawiści. Mogę mieć do kogoś żal, może mi nie pasować, ale żeby nienawidzić? Wybaczyłem nawet morderczyni mojej mamy, na co moja ówczesna żona zareagowała: – Gdybyś miał trzeci policzek, też byś go nadstawił.

Najbliższa rodzina, przyjaciele, znajomi – wszyscy byli przeciwko mnie. Nie rozumieli. I wiecie co? To ja z nich wszystkich najlepiej znałem mamę i wiem, co by zrobiła. Wybaczyła.

Powiedzieć wam, dlaczego tak bardzo cenię życie i każdy jego dzień? Przez śmierć i cień, jaki za sobą zostawia. Towarzyszyła mi tak często, że zdążyłem się z nią oswoić. Ze śmiercią cudzą, swoją. Jest w moim życiu mocno widoczna, stała się jego częścią. Dodam, że nawet dość znaczącą. Jakby kostucha uparła się, że zanim zgłosi się po Michała Listkiewicza, to wcześniej trochę go podręczy.

Jest coś takiego nie do opisania, nie do określenia... Może to zwykły zbieg okoliczności. Ale przypadków nagłej śmierci czy takiej, która wzięła mnie za świadka, jest w moim życiu za dużo. W dodatku mam taki niepisany, nazwijmy to, obowiązek. Gdy umierał ktoś z rodziny, to nie wiem dlaczego wśród najbliższych uznawano, że to ja powinienem jeździć zidentyfikować ciało. I tak stałem się dyżurnym poświadczającym zgony w rodzinie.

Życie składa się z chwil radości, jak i smutku. Jednych i drugich przeżyłem w nadmiarze. O szczegółach śmierci mamy

zakatowanej przez narkomanów dość się nasłuchiwałem. Byłem przy śmierci Ryszarda Kuleszy, widziałem, jak umiera Kazimierz Górski. Pierwszy odszedł ojciec. Był już wprawdzie mocno chory, ale nic nie wskazywało na to, że to jego ostatni dzień. Śmierć, wszędzie śmierć.

Amplituda emocji jest w tej książce wysoka. W moim życiu są mroczne strony, które dziś, nawet pomimo upływu ponad sześćdziesięciu lat, wciąż się nie zabiły. Tymi tajemnicami, które dawno temu złożyłem w skarbcu pamięci i pilnie strzegłem przed dostępem do nich kogokolwiek, chcę się z Wami podzielić.

Mam takie chwile, że staję się wyobcowany, samotny. Dostrzega to żona, wtedy pyta: – Dlaczego jesteś taki dziwny?

– Wiesz, jak byłem dzieckiem, ktoś chciał zrobić mi krzywdę. I to wraca. Przez minutę nie lubię ludzi.

Ten stan zaraz mija. Za chwilę znów jestem uśmiechniętym Michałem, rozweselającym towarzystwo kolejnymi opowieściami. Momenty, gdy rzeczywistość wyświetla obrazy, z którymi nie jestem w stanie sobie poradzić, są jednak ze mną na stałe. Zmienia się jedynie ich konsystencja.

Film „Ostatnia rodzina” o mrocznych losach Beksińskich oglądałem w kinie. Ostatnia scena roztrzaskała mnie emocjonalnie. Beksiński przyjmuje w mieszkaniu zaufanego człowieka, a ten wściekle wbija w niego ostrze noża. Raz, drugi, trzeci... Wróciły obrazy, bo w podobny sposób zginęła moja mama. Tak się wtedy poryczałem w kinie, że mnie, dorosłego już faceta, żona musiała prowadzić do domu. Roztrzęsionego, zagubionego.

Nie można przygotować się na taką śmierć jak mojej mamy. Mogła wpaść pod tramwaj, mogło przestać bić jej serce, a ona ginęła w męczarniach. Przechodziłem przez to, gdy oglądałem jej zmasakrowane zwłoki w kostnicy, czytałem o ranach klutych i poderżniętym gardle, słuchałem o tłuczku do mięsa, nożu czy kablu użytych do jej zgładzenia. Tego nie można ot tak z siebie wyrzucić.

Zdarzają się dni, gdy w ciągu kilku godzin spotykają się w nich wszystkie pory roku. Na pewno coś takiego przeżyliście albo chociaż namiastkę takiej pogodowej anomalii. Nawet nie wiadomo, jak wyszykować się do wyjścia z domu, gdy pogoda zmienna i co chwila kaprysi.

Dokładnie takie jest moje życie. Pomieściło cztery pory roku – gorące lato przeplata się w nim z mroźną zimą, jesień dostojnym krokiem mija się z wiosną. Tych doświadczeń, uniesień i niepokoju zebrało się tyle, że starczyłoby i na trzy życiorysy, co poniekąd się zgadza, gdyż przeżywam teraz w Gdyni szczególnie dni z trzecią żoną, Joasią.

I mocno wierzę, że nie będzie jak u Bohdana Łazuki. Kiedy żenił się trzeci raz, zaprosił na ślub profesora Kazimierza Rudzkiego. Ten grzecznie odmówił:

– Panie Bohdanie, bardzo gratuluję i dziękuję za zaproszenie. Przyjdę na następny.

Okazji rzeczywiście nie zabrakło, bo Bohdan małżeńską przysięgę składał jeszcze dwa razy.

Rozdział I

PAN KAZIO

Okres prezesury Kazimierza Górskiego w PZPN to był śmiech, śmiech i jeszcze raz śmiech. Do siedziby związku zaglądał dwa–trzy razy w tygodniu z gospodarską wizytą.

– No i co tam, panie Misiu, wszystko w porządku? – pytał mnie.

– W porządku.

– Niczego nie brakuje?

– Niczego.

– I dobrze. To ja będę lecieć. O 13:27 mam autobus do domu.

Rozkład jazdy znał na pamięć. Kiedyś opowiadał: – Jadę autobusem, a z tyłu siedzą starszawe panie. I jedna mówi w taki sposób, że wszyscy słyszą: „Patrzcie ludzie, Górski jedzie. Znowu się nachłął i mu prawo jazdy zabrali”.

A Kazio nigdy nie miał prawa jazdy.

Znajomość z Górskim to jedno z moich największych zwycięstw. Jako dziennikarz nie miałem z nim kontaktu. On był słynnym trenerem przywożącym medale z wielkich imprez otoczonym przez dziennikarską śmietankę, ja przyglądałem się temu z daleka.

Poznałem go dość późno, gdy był wiceprezesem PZPN. Po śmierci mojego ojca w 1989 roku nasza relacja zaczęła przypominać ojcowsko-synowską. Nie mówił do mnie inaczej niż „panie Misiu”. Ja dostałem przywilej zwracania się do niego po imieniu. Byłem jednym z nielicznych, którzy mogli wejść do skromnego mieszkania Kazia i zostać przyjętym bez zapowiedzi.

Gdziekolwiek się nie zjawiał, umiał dostosować się do oczekiwań, poziomu i nastrojów towarzystwa. Myślałem, że tego nie kontroluje, ale nic bardziej mylnego. On to robił celowo, by rozluźnić atmosferę i przekonać do siebie ludzi.

Pod tym względem nie różnił się od Seppa Blattera, prezydenta FIFA – wyszukane maniery, kultura nie na pokaz, tylko naturalna. Od razu było widać, że rodzice zadbali o wychowanie Kazia.

Człowiekiem był prostolinijnym. Studia na wrocławskiej Akademii Wychowania Fizycznego skończył w wieku 59 lat. Opowiadano mi, jak to wyglądało. Studiował eksternistycznie, a do Wrocławia zaglądał kilka razy w roku. Na uczelni prosili: – Panie Kazimierzu, niech pan opowie parę kawałów.

I tak to wyglądało. Ale jemu tytuł magistra należał się bez niczego.

Poprzednikiem Górskiego na stanowisku prezesa PZPN był Jurek Domański. Dziennikarz, obecnie redaktor naczelny tygodnika „Przegląd”. Rządy zaczął jako 38-latek i dał się poznać jako wizjoner. Tylko to nie do końca sprawdzało się w skomplikowanych piłkarskich realiach. Jurek nie zdawał sobie sprawy, że czasem trzeba iść na kompromis, wspomóc się dyplomacją. Wszystkiego nie uda się przepchnąć siłą.

Wymyślił reformę ekstraklasy i zależało mu na zmniejszeniu liczby drużyn. Dostał kontrę od klubów. Prezesi zaprotestowali, a Jurek podszedł do tego ambicjonalnie. Zrezygnował z funkcji prezesa i w PZPN zapanowało bezkrólewie. Był rok 1991.

Wtedy wymyśliliśmy, że najlepszym kandydatem na nowego władcę będzie pan Kazimierz, osoba bez skazy, której nikt nie zaatakuję. Nie ukrywam, że przyłożyłem do tego rękę, bo razem z innymi przekonywaliśmy go do startu. Pomyliliśmy się jedynie z tym, że nikt nie będzie go atakował.

W Polsce po przemianach ustrojowych do klubów weszli biznesmeni w lakierkach i białych skarpetkach z łańcuchami na szyi. Działali już w ekstraklasie, a teraz szykowali się do przejęcia władzy w PZPN. Przewodził im Maciej Kapelczak, przedsiębiorca, który nie wiadomo skąd pojawił się w Śląsku Wrocław. Musieliśmy bronić związku, bo istniało poważne niebezpieczeństwo, że znajdzie się w niepowołanych rękach. To byli ludzie, za którymi w kolejnych latach wysyłano listy gończe, kończyli w kryminale lub postrzeleni, a prowadzone przez nich kluby popadały w zapomnienie.

Przed wyborami czekała nas dyskusja w warszawskim Teatrze Buffo. Gorąco zrobiło się podczas wystąpienia Kapelczaka, gdy wypalił w kierunku pana Kazia: – Panie Górski, pana czas już minął. Pan się zestarzał, czas na emeryturę. PZPN musi iść do przodu.

Zapadła krępująca cisza. Ta początkowa konsternacja zaraz zamieniła się w oburzenie. Byliśmy wściekli. – Wypierdalaj! – wyrwało się komuś. Inny zaproponował, żeby Kapelczaka wyprowadzić z sali siłą. Najwięcej spokoju zachował Górski. Niewzruszony wstał i przemówił: – Proszę pana, może pan sobie mówić, co chce. Pan nie jest w stanie mnie obrazić.

Dostał owację. Po kilku latach pan Kazimierz zdradził mi, że Kapelczak wysłał mu do domu kwiaty z przeprosinami.

Pomysł z Kaziem jako prezesem PZPN okazał się genialny w swojej prostocie, bo było jasne, że pokona każdego. Ocaliliśmy związek, a Kaziu ze swojej roli wywiązał się doskonale. Jedyną jego słabością była zbytnia ufność i łatwowierność. Wykorzystał to Marian Dziurawicz.

Teoretycznie był wiceprezesem, ale w rzeczywistości to on rządził związkiem. Rano, przed zarządem, zabierał pana Kazia na kawę i omawiali przebieg zebrania. A później wszystko toczyło się po myśli Dziurawicza. Dochodziło do różnych paradoksów. Kazio jako prezes prowadził obrady zarządu. Zamykał spotkanie: – Dziękuję, kończę już.

Wtedy ożywił się Dziurawicz. Nachylił się do Kazia, szepcząc mu coś do ucha. – A tak, tak... – kiwnął głową Kazio. I zaraz zwrócił się do nas. – Został jeszcze jeden punkt, sprawy różne. Dotacja dla GKS Katowice...

Za kadencji Kazia wiceprezesów zrobiło się w PZPN od groma. Bodaj siedmiu. Ja byłem wiceprezesem ds. międzynarodowych, z kolei za szkolenie odpowiadał Jerzy Lechowski, wcześniejszy redaktor naczelny „Piłki Nożnej”. Uważał, że się na tym zna i co mu zrobisz?

Nie mam pojęcia z jakiego powodu, ale Lechowski za mną nie przepadał. Może dlatego, że był zagorzałym legionistą, a ja polonistą. W każdym razie sympatii nie było. Lechowski zorganizował w związku grupę, by mnie utracić. Zamierzali to zrobić w białych rękawiczkach. Żeby odsunąć podejrzenia, zaproponowali zmniejszenie liczby wiceprezesów do czterech.

Ścinanie głów zamierzali zacząć – co za przypadek – od tego odpowiedzialnego za sprawy międzynarodowe.

Zaczęła się dyskusja. Od początku było widać, że zmierza w niekorzystnym dla mnie kierunku. Lechowski dobrze się przygotował. Zebrał stronników i zepchnął mnie do narożnika. Wszystko wydawało się przesądzone, gdy na koniec głos zabrał Kazio: – Panowie, żeście pogadali, to ja chciałem tylko podsumować. Wiceprezesów jest tylu, ilu potrzeba. Głosowania nie będzie. Dziękuję.

Jak trzeba, potrafił być zdecydowany.

Najmilej wspominam nasze wyjazdy. Moja wiceprezura polegała głównie na zajmowaniu się panem Kaziem i wożeniem go po kraju na spotkania. Byłem jego kierowcą, czasem kamerdynerem.

Z nieznanych mi powodów co roku jeździł na klubową wigilię do Elku i spotykał się z miejscowymi działaczami. Podejmowali go tam z honorami. Kiedyś i ja załapałem się na taki wyjazd. Dotarliśmy na miejsce, usadzili nas przy wigilijnym stole. Kazio rozgląda się po sali: – Panowie, tutaj rok temu był taki wiceprezes z siwym wąsem. Nie widzę go teraz.

Cisza. W końcu odezwał się ktoś z sali: – Panie Kaziu, on miesiąc temu zmarł.

Kaziu podrapał się po głowie: – Zmarł? Patrz pan, a rok temu jeszcze żył.

Innym razem jesteśmy na naradzie. Na sali dwieście osób, a my z Kaziem spieszymy się na kolejne spotkanie. Nachyliłem się do niego i konspiracyjnym szeptem zaproponowałem wyjście po angielsku. Nie minęło kilka minut, a on stuka łyżeczką

w szklankę. Na sali zapanowała cisza. Kazio się podnosi, przemawia do zebranych:

– Bardzo przepraszam, ale my się spieszymy i wychodzimy po angielsku.

Podróże samochodem z nim wykluczały mandat. Do tego na wyjazdy ubierał się prześmiesznie. Zakładał spodnie dresowe z igrzysk w Montrealu, a na górę – koszulę, krawat i marynarkę. Gdy zbliżaliśmy się na miejsce, przebierał się w spodnie garniturowe.

Czy wyjeżdżał na dzień czy na tydzień, zabierał tę samą saszetkę na pasku. Trzymał tam rzeczy potrzebne do higieny. Do podróży zawsze był gotowy. Zestaw obowiązkowy pana Kazia: saszetka, spodnie dresowe, koszula i marynarka.

Jedziemy, zatrzymuje nas policja. Mocniejsze hamowanie, Kazio się obudził. Podchodzi policjant, nachyla się do szyby od strony kierowcy. Tym razem prowadził Tadzio Obliński, nasz związkowy szofer.

– Panie kier... – nie zdążył dokończyć, gdy zobaczył trenera.
– O rany, pan Górski!

Kaziu przywitał się tym swoim lwowskim zaśpiewem: – No witam pana.

– Panie trenerze, podpisałby się pan dla syna?

Na takie okazje woziliśmy w bagażniku koszulki i piłki z autografami Kazia. Policjant dostał prezent dla syna, chwilę jeszcze pogadał i wraca do kierowcy: – Panie kierowco, a dla pana będzie mandat. Jechał pan 100 na godzinę, a ograniczenie jest do 60.

Wtrącił się Kaziu: – A to bardzo ciekawe, co pan mówi, bo ja tutaj cały czas siedzę i niczego nie zauważyłem.

Pozwolił nam spokojnie odjechać.

Dzięki Kaziowi poznałem kulisy funkcjonowania reprezentacji Polski z 1974 roku, trzeciej drużyny świata. Jej mecze oglądałem z zachwytem, a później od architekta mogłem dowiedzieć się, jak to wyglądało od środka. Kazio lubił o tym opowiadać. – Wiedziałem o zawodnikach wszystko od strony rodzinnej: że komuś choruje dziecko, jednego żona nie pracuje, a drugi ma kobitkę na boku.

Taka wiedza pomagała mu w zarządzaniu drużyną. Raz przypadkowo spotkał żonę Grzeska Laty. Zapytał ją, co słychać, a Dzidzia się poskarżyła: – No, Grzesiu ostatnio późno wraca. Raz odezwał się nieładnie, szarpnął mnie przy ludziach.

Na najbliższym zgrupowaniu reprezentacji Górski zaprosił Latę na rozmowę: – Grzesiu, dowiedziałem się, że nieładnie zachowujesz się wobec Dzidzi. Masz do wyboru: kwiaty i do niej z przeprosinami na kolanach albo nie zagrasz.

Adam Musiał, który na mistrzostwach świata w Niemczech podpadł Górskiemu i został odsunięty na jeden mecz, przyznawał, że Kazio uratował mu karierę. – Bez niego poszedłbym w tango – przekonywał.

Kazio miał czuja. Przed meczem reprezentacji z Niemcami przyszedł do niego Andrzej Strejlau, jego asystent. – Gorgoń zgłosił niedyspozycję. Boli go żołądek, biega do toalety.

Po latach Kazio opowiadał: – Wiedziałem, że Gorgoń boi się, że ci Niemcy go ośmieszą. Powiedziałem Andrzejowi: „Gównu mnie to obchodzi. Gorgoń gra”.

I zagrał. Był najlepszy na boisku.

Dziś widzę trenerów wypuszczających drony, stawiających tyle pachółków i czapeczek, że boisko przypomina lotnisko. Oczywiście trzeba iść z duchem czasu, ale przede wszystkim pamiętać, że piłka nożna to dość prosta gra. Kazio to zrozumiał. Przede wszystkim z wyczuciem dobrał współpracowników i udało mu się połączyć ogień z wodą. Między Andrzejem Strejlauem i Jackiem Gmochem od początku była kosa, za to Kaziu ich wzajemną niechęć rozgrywał kapitalnie. Na rozmowę zapraszał Strejlaua:

– Andrzejku, zobacz, bo Jacuś tak widzi skład. Co o tym sądzisz?

Na Andrzeja działało to jak płachta na byka: – Nie, to bez sensu. Powinniśmy zrobić tak... Za godzinę na spotkanie z selekcjonerem przychodził Gmoch.

– Jacuś, chciałem z tobą pogadać, bo Andrzej widzi to inaczej.

– Coooo? Ten narkoman?! – denerwował się Gmoch.

Kaziu słuchał jednego i drugiego, wyciągał wnioski i robił swoje. A narkoman wziął się od uzależnienia Andrzeja od futbolu.

Z prezesem Górkim i selekcjonerem Strejlauem wracaliśmy z Nowego Jorku z losowania eliminacji mistrzostw świata. W Londynie mieliśmy przesiadkę. Czekala nas trzygodzinna przerwa. Cholernie byliśmy znużeni podróżą i to położyło Andrzeja. W lotniskowej kawiarni oparł głowę o rękę i zasnął przy stoliku. Wyglądał, jakby nie tyle zmęczyła go podróż, co nadmiar procentów przyjętych podczas lotu. Tylko jedno w tej opowieści się nie zgadzało. Andrzej to zatwardziały abstynent alkoholowy.

Kazio, jak to on, wyczuł okazję do zrobienia psikusa: – Już my mu pokażemy, jaki on niepijący.

Z sąsiednich stolików znieśliśmy butelki po szampanie i szklanki z niedopitym piwem, ustawiliśmy obok drzemiącego Andrzeja i cyk! Zdjęcie. Kazio często się nim posługiwał, gdy chciał czegoś od Andrzeja.

– Andrzejku, ty ze mną za dużo nie dyskutuj. Popatrz na to zdjęcie, jak ja to twojej Marysi pokażę...

Kazio uwielbiał chodzić na grzyby. Jeździliśmy pod Mikołajki, gdzie leśniczówkę miał Alojzy Jarguz. Zaszywaliśmy się tam na trzy dni – rano szliśmy do lasu na grzyby, a wieczorami te marynowane służyły nam do zakąszania wódki.

Górski, jeśli chodzi o alkohol, nie pił dużo. Najbardziej lubił koniak. Jak czuł, że wychylił o jeden kieliszek za dużo, to prosił: – Panie Misiu, pan zorganizuje jakiś porterek.

Porter sam w sobie jest bardzo mocny, a w połączeniu z koniakiem dla każdego normalnego człowieka oznacza koniec imprezy. Tylko organizm pana Kazia reagował odwrotnie. Wypity wlewał w siebie portera i zaraz ożywał. – Znowu czuję się świeżutko. Kontynuujemy – zacierał ręce.

Na Mazurach poszliśmy na spacer. W pewnym momencie Kazio zatrzymuje się w lesie.

– Panie Misiu, tu gdzieś mecz grają.

– Jaki mecz? W lesie?

– Przecież słyszę. Idziemy tam!

Przeszliśmy ze dwa kilometry. Z jakiejś polany ktoś zrobił boisko i rzeczywiście odbywał się tam mecz. Okazało się to spotkaniem B klasy. Do dziś pamiętam, że jedna z drużyn nazywała się Darz Bór Dobry Lasek. Miejscowi gdy zobaczyli Górskiego wychodzącego z lasu, zaraz przerwali granie. Zrobiło się zamieszanie. Kazio to wyczuł, a był figlarzem. Rzekł z poważną miną: – Pano-
wie, bo mnie tu przysłał kolega Strejlau (Andrzej był wtedy selekcjonerem). Szuka młodych napastników i ja chcę się przyjrzeć.

Zebrani oniemieli, a Kaziowi jeszcze było mało: – Przyjechałem z panem Misiem. On z kolei szuka sędziów międzynarodowych.

Momentalnie wzrok wszystkich przeniósł się na sędziego. A był to pan, tak dobrze licząc, z trzydziestokilogramowym nadbagażem.

– Wy sobie nie przeszkadzajcie i grajcie dalej, a my będziemy obserwować – zdecydował Kazio. Żeby było nam wygodnie, to z najbliższej chałupy przyniesiono dwa fotele.

Gospodarze powtarzali: – Dla nas do końca życia to będzie największa chwila w futbolu.

Wieść o wyjątkowym gościu szybko się rozniosła. Rowerem przyjechał jakiś facet w berecie. Po twarzy od razu było widać, że za nim ciężka noc: – Panie Kaziu, mogę pana dotknąć? – wychrypiał.

– A dotykaj pan.

I ten z największą czułością musnął go kilka razy po ręce.

Piłkarskie środowisko zaniedbało Górskiego. Po jego śmierci powtarzałem, że powinno mieć wyrzuty sumienia za zepchnięcie go na margines. Największą hańbą jest to – do sie-

bie też mogę to odnieść – że żył w tak skromnych warunkach. Państwo Górscy z dwojgiem dzieci zajmowali ciasne mieszkanie, choć on akurat nie przykładał do tego wagi. Ludzie, którzy dzięki niemu porobili kariery sportowe i majątkowe, uważali, że jeżeli na urodziny podrzucą mu butelkę koniaku albo powiedzą o Trenerze Tysiąclecia w prasie, to już wystarczy.

Wspominał o tym jego syn Darek: „Zrobiło się to trochę nie-smaczne. To było, nazwijmy, niedopatrzenie... Wydaje mi się, że tata poczuł się odrzucony, niepotrzebny, szczególnie w momencie, kiedy dopadła go choroba. Dopóki przesował PZPN, to jeszcze wszystko było OK. Panie trenerze, panie Kazimierzu, a nagle później odstawka: Siema! Cześć! Fajnie było. Masz taką emeryturę, jaką masz i się bujaj – mówiąc potocznie”.

Gdy przed kamerami wytknąłem piłkarskiej rodzinie odrzucenie Górskiego i brak zainteresowania nim, odezwał się Zdzisiek Kręcina: – Michał, nie bądź taki skromniś, bo ty akurat nie zapomniałeś.

Na mój wniosek otrzymał sporą jak na tamten czas emeryturę: trzy tysiące złotych. Ostatnie pół roku leczono pana Kazia na koszt związku, a jego syna zatrudniliśmy w PZPN. Blattera namówiłem na uhonorowanie Górskiego FIFA Order of Merit, najwyższym odznaczeniem, które trafiło do wąskiego grona szkoleniowców: Franza Beckenbauera czy Mário Zagallo.

Górski pod koniec życia był już wykorzystywany instrumentalnie. Mam pretensje do wielu osób. To przykre, że później, gdy

jego zdrowie zaczęło się psuć, nagle spod ziemi wyrosli obcy dla niego ludzie: – Wychowaliśmy się w kulcie Górskiego. Dziadek to w nas zaszczepił – zdobywali jego zaufanie i zaczęli wozić Kazia po odpustach. Z drugiej strony to było dla niego lepsze niż siedzenie w domu.

Krzysiek Dmoszyński wymyślił, żeby imieniem Kazimierza Górskiego nazwać stadion w Płocku. Dlaczego akurat w Płocku, z którym Kazio nie miał nic wspólnego? Nie wiem. Trudno mieć pretensje akurat do Krzyśka. Był prezesem klubu i starał się działać z myślą o nim. No i w Płocku przynajmniej jest pamiątkowa tablica z płaskorzeźbą trenera. Na Legii straszyloby zaśnieżone krzeselko, podobnie jak na Polonii.

W 2012 roku Sejm przez aklamację, czyli za zgodą wszystkich posłów, co wydaje się wręcz niewiarygodne, przegłosował uchwałę o nadaniu Stadionowi Narodowemu w Warszawie imienia Kazimierza Górskiego. I co? Nastąpiła cisza. O rosnącym opóźnieniu informowano ministrów sportu: Joannę Muchę czy Witolda Bańkę, ale odpowiedź była jedna: – Sponsor zapłacił za to, że chce być sam w nazwie.

Dziwiłem się, bo jeżeli byłby Stadion PGE imienia Kazimierza Górskiego, to przecież wzrosłaby jego ranga, bo to nie jest żadna kontrowersyjna postać. Dziewięć lat czekaliśmy, żeby wprowadzić to w życie. Przy stadionie stoi pomnik pana Kazia, postawiony dzięki uporowi posła Marka Matuszewskiego i prezesa Fundacji Kazimierza Górskiego Janusza Jesionka. Jestem dumny, że zasiadam w niej jako wiceprezes, a towarzystwo mam lepsze niż kiedykolwiek w PZPN czy FIFA: Kwaśniewski, Zaorski, Ćmiekiewicz, Garlicki, Strelau, Tomaszewski, Kraska, Kosmała, Bobkiewicz, Lubaszenko.

Widzę, jak Węgrzy traktują Ferencą Puskása. Był ich najwybitniejszym piłkarzem, to więcej niż trener, ale gdybym miał porównać status obu w swoich ojczyznach, to ten Górskiego i Puskása jest podobny. Na Węgrzech jest stadion jego imienia, akademía Puskása, sprzedaje się koszulki z lat pięćdziesiątych i piłki z tamtych czasów. Część dochodu przeznaczą się na jego rodzinę. Kult Puskása jest mocno podtrzymywany.

W Polsce mamy za to tendencję do orania pamięci. Brakuje autorytetów, które ponieśliśmy na sztandarach, a przecież mogliby tam trafić Feliks Stamm, Kazimierz Górski czy Hubert Wagner. Zresztą nie mówię tylko o sporcie, ale i kulturze, filmie czy gospodarce.

Widziałem lądowanie samolotu z piłkarzami Manchesteru United. Czekali na nich dziennikarze, operatorzy wycelowali kamery. I kto wyszedł pierwszy? Nie David Beckham, Ryan Giggs czy Paul Scholes, ale Bobby Charlton – legenda klubu.

U nas gdy Antek Szymanowski zapytał kiedyś w Wiśle o karnet dla siebie, to usłyszał, żeby sobie kupił. Podobną odpowiedź w Legii dostał jako selekcjoner Paweł Janas. – Chciałbym karnet, żeby oglądać zawodników – poprosił w klubie.

– PZPN dostaje od nas dziesięć, niech dadzą panu jeden.

– Ale chodzi o to, że ja w Legii byłem zawodnikiem i trenerem. I to z sukcesami. I właśnie z Legii chciałbym ten karnet dostać.

Nie dostał.

W chwili śmierci pana Kazia przekonałem się, jak ludzie potrafią być paskudni i żerować na jego rozpoznawalności. Kilku

piłkarzy przypominało sobie o swoim mistrzu, gdy już jedną nogą był na tamtym świecie. Spośród nich najbliższemu pana Kazia trzymał się Leszek Ćmikiewicz, on opiekował się nim do końca. Też byłem u niego w szpitalu codziennie. Czułem, jakby umierał mój ojciec.

Z zamiarem odwiedzin przyjechał też jeden z zawodników. Usłyszał od pielęgniarki: – Pan Kazimierz teraz śpi. Może jak się obudzi. Trzeba poczekać.

Posiedział godzinę czy półtorej i odpuścił, bo gdzieś się spieszył. Po śmierci Kazia czytałem wspominki tego piłkarza: – Trzymałem umierającego trenera za rękę.

Słabe.